

III RP czyli kondominium Zachodu

Diagnoza neokolonialna to intelektualna bomba podłożona pod symboliczny ład współczesnej Polski i pod samozadowolenie okrągłostołowych elit



Diagnoza neokolonialna to intelektualna bomba podłożona pod symboliczny ład współczesnej Polski i pod samozadowolenie okrągłostołowych elit - **tekst ukazał się w "Nowej Konfederacji"**

Idee miewają wywrotowe konsekwencje. Dlatego możni tego świata użyją wszelkich dostępnych sobie środków, aby zdusić je w zarodku lub nie dać im się rozwinąć. Tak było swego czasu z polską ideą niepodległościową, godzącą w najżywotniejsze interesy trzech

imperiiów zaborczych, ale przecież zarazem i w ogólnoeuropejską równowagę sił.

Intelektualna bomba

Zanim jednak naród staje się zdolny do wyartykułowania idei zbiorowej wolności, musi uświadomić sobie zniewolenie. W pionierskiej pracy „Patologia transformacji” prof. Witold Kieżun odsłania brutalną prawdę o współczesnej Polsce jako neokolonii Zachodu.

Ta książka to intelektualna bomba podłożona pod symboliczny ład współczesnej Polski i pod samozadowolenie okrągłostołowych elit. Jeśliby tezy Kieżuna przeniknęły do krajowego obiegu myśli, nie do utrzymania byłaby już nie tylko narracja o III RP jako największym sukcesie w historii Polski, ale wymierzony zostałby potężny cios w przekonanie o prawomocności zbudowanego nad Wisłą systemu. Bo uświadomienie niezbyt głęboko obecnie zainteresowanym polityką rodakom, że są eksploatowani przez „przyjaciół z Zachodu” na podobieństwo Afrykanów czy Latynoamerykanów i że nie byłoby to możliwe bez konsekwentnie prowadzonej po 1989 r. przez polskie elity polityki, niesie ze sobą gigantyczny potencjał antysystemowego buntu.

Właśnie dlatego wywrotowe idee prof. Kieżuna zostały przez główne ośrodki opiniotwórcze przemilczane. Kieżun – znany teoretyk zarządzania, profesor prestiżowej SGH, wieloletni wykładowca w Kanadzie, były doradca ONZ – patrzy na polskie przemiany przez pryzmat teorii patologii organizacji. Analizuje dziedzictwo PRL, neokolonizację Afryki, analogiczny proces w Polsce, w końcu – patologie samorządowe i administracyjne.

Clue książki to dwa środkowe rozdziały o neokolonizacji. Kieżun precyzyjnie pokazuje w nich olbrzymie ludzkie, gospodarcze, polityczne i kulturalne koszty zachodniej penetracji – pod pozorami

postkolonialnego wycofania – Czarnego Łądu. Następnie dowodzi, że jakościowo taki sam – zachowując ilościowe proporcje – proces przeprowadzono po 1989 r. w Polsce.

„Terapia szokowa” jako neokolonizacja

Początkiem było nawiązanie jeszcze przez komunistyczny rząd kontaktu w sprawie systemowych zmian gospodarczych z Amerykanami, w tym z młodym ekonomistą Jeffreyem Sachsem. To komuniści rozpoczęli realną transformację – potwierdza Kieżun – jeszcze w głębokich latach 80. Wkrótce potem rozpoczęła się nomenklaturowa prywatyzacja, która przekształciła dawnych aparaczyków w nową burżuazję. Jednak już wkrótce uwłaszczona nomenklatura miała stać się we własnym kraju juniorpartnerem dla kapitału zachodniego.

Kieżun barwnie i drobiazgowo opisuje, jak już po okrągłym stole zatrudniono podrzędnego ekonomistę Leszka Balcerowicza jako podwykonawcę planu George’a Sorosa i Jeffrey’a Sachsa. Tak więc rozpowszechnienie terminu „plan Balcerowicza” było symbolicznym podarunkiem dla ludności tubylczej, pozwalającym jej sądzić, że sama organizuje swoją politykę.

W rzeczywistości, dowodzi Kieżun, chodziło o implementację nad Wisłą zasad Konsensusu Waszyngtońskiego. A więc dziesięciu reguł nowego ładu światowego, będących podstawą polityki Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego, spisanych pod koniec lat 80. przez amerykańskiego ekonomistę Johna Williamsona. Zasady te to przede wszystkim: likwidacja barier dla zagranicznych inwestycji, liberalizacja rynków finansowych i handlu, prywatyzacja.

Oficjalnie Konsensus Waszyngtoński miał służyć szerzeniu „stabilnego

i zrównoważonego wzrostu i rozwoju gospodarczego”. Realnie był reorganizacją globalnego porządku wobec konstatacji o upadku ładu jałtańskiego pod dyktando zwycięskich mocarstw zachodnich. Zmierzających teraz do (neo)kolonizacji dawnego Drugiego Świata, czyli bloku komunistycznego.

Realizacja sformułowanych w Waszyngtonie zasad w Polsce przybrała postać – udowadnia Kieżun – analogiczną do wcześniejszej neokolonizacji Afryki. Najpierw Balcerowicz et consortes, wbrew licznym przestrogom polskich i zagranicznych ekonomistów, otwarli granice, doprowadzając do istnej inwazji importu z Zachodu. Równolegle wdrożyli politykę realnej dyskryminacji rodzimych przedsiębiorstw poprzez takie rozwiązania, jak popiwki, bardzo wysokie oprocentowanie kredytów, połączone z obowiązkiem pokrywania 70 proc. obrotów z kredytu, częściową tylko rewaloryzację oszczędności bankowych. To w oczywisty sposób radykalnie utrudniło i tak bardzo trudną konkurencję z napływającym masowo zagranicznym kapitałem, prowadząc do fali bankructw i zubożenia. Dodajmy do tego obłożenie 80-procentowym podatkiem zyskowego eksportu węgla, podstawy polskiej gospodarki, którego złoża mamy największe w UE.

Z drugiej strony, zagraniczni inwestorzy otrzymali rozmaite przywileje. Np. obce banki obdarowano ulgami podatkowymi na pierwsze trzy lata działalności, możliwością swobodnego transferu 15 proc. zysków i wyłączenia spod władzy polskiego nadzoru bankowego (zmiana dopiero w 2011 r.).

Nadwiślańskie Eldorado

Kapitalistyczna Polska, tak trudna do życia dla większości własnych obywateli, stała się natomiast rajem dla zagranicznych inwestorów. Kieżun przytacza pełne zachwyty – jako żywo przypominające nadzieje europejskich awanturników z XVI w. na złupienie legendarnych

indiańskich miast ze złota – opinie zachodnich biznesmenów, których spotykał w Afryce.

Tyle że nadwiślańskie Eldorado okazało się prawdziwe. Przykładowo opisuje Kieżun, jak belgijski koncern SBFRF dostał w 1990 r. ofertę zakupu nowoczesnej i potężnej Cementowni Górażdże na raty po 15 mln rocznie, czyli za równowartość rocznego zysku firmy. Oburzyło to załogę i pod wpływem jej protestów umowę anulowano. Jednak trzy lata później 30 proc. akcji cementowni za przeszło 90 mln marek i zobowiązanie kontynuacji działalności kupiła inna belgijska spółka – CBR Baltic. Złamała jednak umowę już dwa miesiące po jej zawarciu, sprzedając cementownię niemieckiemu Heidelbergerowi. Rząd polski nie interweniował. W podobny sposób sprzedano zagranicznym inwestorom 16 polskich cementowni. A mogły one być tanim zapleczem dla budowy w Polsce dróg i autostrad, za które tak bardzo od lat przepłacamy. Zamiast tego stały się źródłem wysokich zysków zachodniego kapitału.

III RP była też Eldorado dla „brygad Marriota”, jak nazywano zagranicznych doradców. BŚ, MFW i kwitnące nad Wisłą zagraniczne banki żądały ich zatrudniania przy wycenach wartości prywatyzowanych przedsiębiorstw, różnorodnych ekspertyzach, opiniach i koncepcjach. I polscy podatnicy płacili, często po 20–25 tys. dol. miesięcznie na głowę „fachowca”. Te horrendalne honoraria szły do całych zastępów niemających pojęcia o tutejszych realiach „zagranicznych ekspertów”, biorących np. masowo bezpłatne urlopy w ONZ, żeby dorobić się u nas.

Rozdając srebra rodowe

Nie miejsce tu na pisanie historii grabieżczej prywatyzacji, takich przykładów jak Cementownia Górażdże były bowiem setki, jeśli nie tysiące – z czego sam Kieżun dokładnie omawia kilkadziesiąt – i

mogłyby wypełnić wielotomową antologię. Dość stwierdzić, że pod hasłami wolnego rynku i modernizacji budowniczcy III RP doprowadzili do oddania zachodniemu kapitałowi za „symboliczne złotówki” najbardziej wartościowych polskich firm, które zostały następnie zlikwidowane lub przeorientowane na wzbogacanie głównie zagranicy.

Najbardziej bolesny był, po pierwsze, upadek produkcji wyższej techniki – zniszczonej jako potencjalnie groźna (po ewentualnej modernizacji, a dzięki wielokrotnie niższym kosztom i nieźle wykwalifikowanej kadrze) konkurencja dla produkcji zachodniej – i dezindustrializacja. Upadły albo stały się w zdecydowanej większości własnością zagraniczną przemysły: stalowniczy, hutniczy, samochodów osobowych, kolejowy, stoczniowy, cukrowniczy, tytoniowy, gorzelniany, lniany, w dużym stopniu także zbrojeniowy. Jesteśmy w efekcie rynkiem zbytu dla zachodnich produktów.

Po drugie, krwiobieg każdej nowoczesnej gospodarki, czyli bankowość, został w ponad 70 proc. sprzedany zachodnim inwestorom. Żaden kraj rozwinięty nigdy nie miał takiej struktury własności tego sektora. Sprzyja ona bowiem (co Kieżun dokładnie pokazuje) transferowi kapitału za granicę, niewystarczającemu kredytowaniu rodzimej przedsiębiorczości i niedorozwojowi inwestycyjnemu.

Po trzecie, w zachodnie ręce trafił wielki, supermarketowy handel, spychając rodzimych handlowców do poziomu drobnej działalności, z trudem konkurującej z wielkimi graczami, jak Biedronka czy Lidl.

Po czwarte, w rękach zagranicznych, głównie niemieckich, jest większość polskiej prasy.

Po piąte, tradycyjna telefonia (Telekomunikacja Polska) została sprzedana państwowemu monopoliście francuskiemu wraz z

elementami strategicznej infrastruktury bezpieczeństwa państwa. Telefonnia komórkowa jest również w miazdzącej większości zagraniczna.

Prawdziwi beneficjenci transformacji

Jak podsumowuje Kieżun, najwięksi nabywcy naszych przedsiębiorstw – a więc główni beneficjenci polskiej transformacji – to kolejno: Niemcy, Francuzi, Amerykanie, Szwedzi i Holendrzy. W newralgicznej dla gospodarki bankowości są to natomiast: Niemcy, Belgowie, Amerykanie, Francuzi, Holendrzy, a następnie: Irlandczycy, Austriacy, Portugalczycy, Brytyjczycy, Szwedzi i Włosi.

Profesor konkluduje, że efektem polskiej transformacji jest struktura gospodarki podobna do krajów afrykańskich. Na 100 największych firm tylko 17 jest w polskich rękach. Notujemy stały, wysoki deficyt handlowy. Jednocześnie eksportujemy kapitał – zyski wypracowywane w Polsce są w dużym stopniu transferowane za granicę (idące nawet w ponad 50 mld rocznie saldo „błędów i upuszczeń” w – ujemnym – bilansie płatniczym). Mamy wysoki deficyt budżetowy i lawinowo rosnący dług publiczny. A także – niedorozwinięty rynek pracy, z wysokim bezrobociem strukturalnym, prowadzącym do emigracji. Płace polskich pracowników w lokalnych oddziałach zagranicznych firm i banków są dużo niższe niż obcokrajowców na tych samych stanowiskach.

Zwolennicy „terapii szokowej” przez lata powtarzali, że „nie było alternatywy”. I ten mit obraca prof. Kieżun w niwecz, przypominając zignorowany program prof. Janusza Beksińskiego z samego początku wielkich przemian. Oczywiście, należy zachować proporcje w ocenie. „Neokolonializm nie niszczy neoskolonizowanych krajów, tylko je wyzyskuje. Te kraje, z przewagą własnej produkcji, przewagą własnego handlu, miałyby nieporównanie wyższą skalę rozwoju” – pisze Kieżun.

Początek drogi

Jest więc, jako się rzekło, „Patologia transformacji” – a szerzej: diagnoza neokolonialna – intelektualną bombą, o potencjale wysadzającym w powietrze ład okrągłostołowy. Jest też najważniejszą książką o polskim państwie od czasu „Postkomunizmu” Jadwigi Staniszkis.

Niemniej jest też jednak książka Kieżuna zaledwie przyczynkiem do zrozumienia i opisu fenomenu neokolonizacji Polski. Autor mało korzysta z dostępnych, rozbudowanych i użytecznych narzędzi teoretycznych, których dostarczają badacze neokolonializmu, postkolonializmu, rozwoju zależnego, przemocy strukturalnej. Przede wszystkim umyka mu zaś ów kluczowy moment polityczny, w którym wpływy gospodarcze przekładają się na jakość państwa i elit.

Tym bardziej obecność diagnozy neokolonialnej w intelektualnym obiegu może i powinna zainspirować całe zastępy badaczy, dziennikarzy i publicystów do odsłaniania kolejnych fragmentów zakrytej dziś rzeczywistości. Pozwalam sobie podrzucić kilka tropów.

Pierwszy to studia postkolonialne. Pozwalają one dostrzec problemy poruszane przez Kieżuna w perspektywie długiego trwania, a więc setek lat. Poprawiają też zasadniczo nasz anachroniczny i nieadekwatny słownik, każący mówić o pozbawionych szerszego kontekstu „zaborach” czy niewiele wyjaśniającej „niewoli narodowej” na rzecz wpisania trzystuletniego okresu polskiej historii w światową historię kolonialną.

Teoria postkolonialna to także pojęcie elit kompradorskich, czyli współdziałających z obcymi mocarstwami dla prywatnych korzyści, ze szkodą dla interesu publicznego. Zdecydowana większość ważniejszych

administratorów III RP kwalifikuje się, by zostać objęta tym terminem. Co samo w sobie jest wezwaniem do radykalnego przyspieszenia wymiany elit.

Wychodząc od diagnozy neokolonialnej, a w dialogu – ale i częściowej polemice – z teoretykami postkolonializmu, można uczynić historię Polski bardziej przejrzystą. Poprzez umiejscowienie trwającej od 1989 r. trzeciej kolonizacji (po pierwszej w postaci zaborów i drugiej, sowieckiej) w kilkusetletnim procesie.

Kolejny niepodjęty prawie przez prof. Kieżuna trop to bogaty już i fundamentalny dorobek teoretyków samego neokolonializmu i zależności (dependancy theory). Prace Kwame Nkrumaha czy Immanuela Wallersteina dostarczają wielu użytecznych kategorii, pozwalając pełniej zrozumieć gospodarczy, lecz przede wszystkim polityczny wymiar nowego kolonializmu. Wyjaśniają, jak wyrafinowanymi i złożonymi narzędziami się on posługuje, aby, zostawiając formalną suwerenność, zniewalać całe narody. I pokazują, jak ważna jest tu penetracja polityczna, infekująca do lokalnych systemów operujące w odmiennej logice i dla zewnętrznych celów interesy, w tym powiązane z rządami swoich central interesy wielkiego prywatnego kapitału. Odpaństwowienie, redukcja „tubylczych” elit do roli administratorów – a nie rządzących – jest elementarnym wymiarem neokolonizacji.

Diagnoza neokolonialna oznacza, że III RP jest nowego typu kondominium, a więc terytorium rządzonym przez więcej niż jedno zewnętrzne mocarstwo.

Opis tego, będącego źródłem najbardziej dojmujących problemów współczesnej Polski zjawiska będzie jeszcze pełniejszy, jeśli dodać do

niego to, co Pierre Bourdieu nazwał przemocą symboliczną. Ma ona miejsce wtedy, gdy grupy dominujące wytwarzają takie systemy znaczeń, w których rzeczywisty układ sił, będący podstawą ich dominacji, jest szczelnie ukryty pod pozorem sprawiedliwego ładu i dzięki temu powszechnie odbierany jako prawomocny. Z kolei grupy poddane dominacji, a tym samym skazane na odtwarzanie swojego niskiego statusu, postrzegają ten stan rzeczy jako naturalny. Zaś dopóki tak jest, nie są w stanie wygenerować ani alternatywnego języka opisu rzeczywistości, ani tym bardziej alternatywnego programu działania. Mówiąc inaczej, przemoc symboliczna jest tym skuteczniejsza, im bardziej jest ukryta.

Bourdieu chodziło o relacje w obrębie społeczeństwa. Ale jego teoria doskonale pasuje także do współczesnych stosunków międzynarodowych. Bo czyż nie owo ukrycie przemocy właśnie zasadniczo różni nowy kolonializm od starego?

Wreszcie, warto w neokolonialnych rozważaniach sięgnąć po teorię państwa drapieżczego (predatory state). To „organizacja grupy lub klasy; jej funkcją jest wydobywanie dochodów z reszty populacji w interesie tej grupy lub klasy” – pisał Douglass North. Państwo takie dąży więc do możliwie największego drenażu pieniędzy ze społeczeństwa. W świetle tej teorii to nie organizacyjny lub polityczny rodowód czy ideologia cementują w pierwszym rzędzie pasożytnicze elity III RP, lecz czynność i funkcja żerowania na ofiarach, czyli reszcie społeczeństwa. Oznacza to, że reprodukcja drapieżczo-kompradorskiej elity może trwać w nieskończoność, poprzez kooptację kolejnych grup i pokoleń. W takiej sytuacji upływ czasu – wbrew powszechnie głoszonemu u nas przekonaniu – będzie sojusznikiem status quo. Pisałem o tym szeroko w tekście „III RP jako państwo drapieżcze”, do którego muszę w tym miejscu odesłać.

Wnioski antykolonialne

Jakie wnioski płyną z neokolonialnej diagnozy? Po pierwsze, analizowanie międzynarodowego statusu III RP w kategoriach niepodległości czy formalnej suwerenności nie ma większego sensu. Te atrybuty są bowiem w dzisiejszym świecie udziałem tak kolonizatorów, jak i kolonizowanych. Słowem kluczem powinna być więc „podmiotowość”, a zatem zdolność do realizacji swoich interesów. Tej zaś współczesna Polska jest, jako neokolonia, istotnie pozbawiona.

Diagnoza neokolonialna – już tylko w kształcie, jaki nadał jej prof. Kieżun – oznacza, że III RP jest nowego typu kondominium, a więc terytorium rządzone przez więcej niż jedno zewnętrzne mocarstwo. W epoce kolonialnej obca władza była oficjalna. Dziś jest ukryta za fasadową niepodległością. Jak pisał Nkrumah: „Neokolonializm jest także najgorszą formą imperializmu. Dla tych, którzy go praktykują, oznacza władzę bez odpowiedzialności, zaś dla tych, którzy z jego powodu cierpią, oznacza eksploatację bez rekompensaty”.

W oparciu o analizę struktury własnościowej polskiej gospodarki prof. Kieżuna nie ulega wątpliwości, że najważniejszym kolonizatorem Polski są dziś Niemcy. Dalej: Francuzi i Amerykanie. Potem mamy wielu kolejnych „udziałowców”. Z istotną, niedocenianą zazwyczaj rolą Belgów i Holendrów, którzy jednak, ze względu na relatywnie małą siłę polityczną, mają znaczenie nieproporcjonalnie mniejsze niż trzej najwięksi.

Pora więc przyjąć do wiadomości, że kolonizacja zza Odry nam nie tyle grozi (jak co rusz ktoś u nas w kasandrycznym tonie pokrzykuje), co – już się dokonała. W polskim kondominium to Berlin bezsprzecznie ma dziś „pakiet kontrolny”. Oczywiście, stopień zależności może być zawsze większy – przed czym należy się bronić – lub mniejszy, o co trzeba się starać. Jednak każdy wariant sensownej polityki zmierzającej

do budowy polskiej podmiotowości musi uwzględniać fakt naszej zasadniczej zależności od Niemiec.

Po drugie, powinniśmy sobie uświadomić, że jesteśmy narodem znacznie bardziej poobijanym przez historię i poniewieranym obecnie, niż się nam na ogół wydaje. Buduje to wspólnoty losów i analogie mocno odmienne od tych, które zazwyczaj uważamy za adekwatne.

Perspektywa kolonialna stawia nas bowiem (w sensie historycznym) w jednym szeregu z Indianami, Afrykanami czy muzułmanami, a więc ze zbiorowościami, z którymi rzadko kojarzyliśmy do tej pory swoje losy. Współczesny neokolonializm zbliża nas zaś do krajów Ameryki Łacińskiej i Afryki. Jakkolwiek egzotycznie by to brzmiało, powinniśmy więc znacznie dokładniej przemyśleć doświadczenia tych krajów, a także zastanowić się nad wspólnymi z nimi interesami.

Z drugiej strony, kolonializm kojarzy nas z bardzo pokrzywdzonymi w przeszłości wielkimi narodami-cywilizacjami, jak Indyjczycy czy Chińczycy. W stosunku do nich powyższe uwagi są tym bardziej na miejscu.

Przede wszystkim jednak kolonializm we wszystkich, zarówno zaprzesłych, jak i we współczesnej odmianie zbliża nas do reszty Europy Środkowo-Wschodniej. Litwini, Węgrzy, Ukraińcy czy Rumuni dzielą z nami najbardziej podobne doświadczenia podboju i niewoli, niszczenia pamięci, wynarodowienia, upokorzenia i grabieży, penetracji i zależności. Nkrumah, pierwszy prezydent niepodległej Ghany i zarazem wybitny myśliciel polityczny, upatrywał remedium na neokolonializm w afrykańskiej jedności. Uważał bowiem, że samodzielnie każdy kraj Czarnego Lądu jest zbyt słaby, aby móc skutecznie sprzeciwić się hegemonom. Polski i reszty niegermańskiej

Europy Środkowej dotyczy to samo. Przy czym w naszym regionie jedynie my (spośród tutejszych graczy, bo że zewnętrzni aspirują tu do „dzielenia i rządzenia”, to oczywistość) mamy potencjał, aby być liderem.

Ale medal ma także drugą stronę: Zachód. Należy przyjąć do wiadomości, w miejsce wyobrażeń o „wielkiej rodzinie”, że tak w przeszłości (Prusy, Austria), jak i dziś (USA, Europa Zachodnia z Niemcami na czele) owi rzekomi przyjaciele nas kolonizowali i kolonizują. Polityka, zwłaszcza międzynarodowa, nie jest kwestią przyjaźni, lecz interesów. Zaś z diagnozy neokolonialnej wynika zaś, że mamy z „zachodnimi przyjaciółmi” znacznie więcej przeciwstawnych interesów, niż się zwykle uważa. To pod auspicjami USA, darzonych przez nader wielu z nas miłością pensjonarki, odbyła się neokolonizacja Polski po komunizmie. Głównym beneficjentem były i są natomiast Niemcy. Czas wyciągnąć z tego wnioski polityczne.

Oczywiście nie oznacza to w żaden sposób zbliżenia do Rosji, która pozostaje dla nas i naszych regionalnych sojuszników zagrożeniem. Po prostu mamy węższe pole realnego manewru dyplomatycznego, niż przywykliśmy sądzić.

Wniosek drugi: polski brak podmiotowości, przy formalnej suwerenności, nie jest, jak się niekiedy uważa, kwestią li tylko woli i mentalności. To nie kompleksy Polaków i ich elit są zasadniczą przyczyną tego, że nasze państwo działa tak słabo, i w środku, i na zewnątrz. Źródło naszej politycznej słabości tkwi przede wszystkim w wielomiliardowych interesach europejskich i amerykańskich, zlokalizowanych na naszym terytorium, jednak o orientacji i lojalności skierowanej na zewnątrz. Za tymi interesami, ukrytymi często za szklanymi wieżowcami i pod marmurowymi posadzkami, stoją konkretne rządy ze swoimi silnymi biurokracjami, armiami,

wywiadami.

Zatem ewentualna polska podmiotowość nie odrodzi się poprzez zwykły akt woli, „porzucenie postkolonialnych kompleksów”. Będzie wymagać trudnej i długiej walki z wielokrotnie liczniejszym, zasobniejszym i lepiej zorganizowanym przeciwnikiem.

Wszystko to – to trzeci wniosek – może skłaniać do pesymizmu. Nie należy jednak popadać w determinizm. Wprawdzie Kartagina powstała jako fenicka kolonia, a skończyła jako mocarstwo zniszczone przez konkurencyjną potęgę. Lecz już Stany Zjednoczone zaczynały jako kolonie, a dziś są globalnym hegemonem. Rzadko co jest w polityce niemożliwe i nic nie zdejmuje z elit odpowiedzialności za dbanie o długofalowy, wszechstronny rozwój kraju.

Trzeci wniosek z powyższej diagnozy dotyczy samej metody antykolonialnej walki. Powinniśmy, uważam, zachować w niej pewną powściągliwość. Doświadczenie XVIII w., kiedy to inspirowany po części gwałtownością rewolucji francuskiej zapał naszych reformatorów ściągnął na nas prewencyjną egzekucję w postaci rozbiorów, pozostaje ważnym memento. Ewolucja jest zwykle lepsza niż rewolucja.

Powściągliwość powinna więc mieć też zastosowanie w ocenie polskich elit. Rzadko się, np., docenia, że nie tak dawne odparcie próby wymuszenia na nas zgody na wrogie przejęcie PZU przez portugalsko-holenderskie Eureka, na modłę podobnych sytuacji z lat 90., zostało stopniowo odparte łącznym wysiłkiem rządów SLD, PiS i PO. I takich przykładów – by przytoczyć jeszcze tylko trwającą od kilku lat repolonizację banków – jest więcej.

Warto tego rodzaju sukcesy dostrzegać i doceniać. Zachowując świadomość wąskiego pola manewru oraz potężnej presji zewnętrznej i

wewnętrznej (ale zorientowanej na obce interesy), z jakimi muszą się zmagać nasi politycy. Brak tolerancji dla postaw kompradorskich nie powinien skłaniać do przesadnego antyelityzmu, bo mógłby się on okazać wylewaniem dziecka z kąpielą.

Dekolonizacja współczesnej Polski jest możliwa. Nie może to jednak być proces szybki ani łatwy.

Bartłomiej Radziejewski

Redaktor naczelny "Nowej Konfederacji"